

A man with short brown hair and a light complexion is shown from the chest up. He is wearing a white t-shirt under blue overalls with black straps. He has his arms crossed and is looking slightly to his left with a neutral expression. The background is a workshop, with a car wheel visible in the upper left and various tools and equipment blurred in the background.

Izabela Tokarek

WARSZTAT

Izabela Tokarek

WARSZTAT

© Copyright by Izabela Tokarek & e-bookowo
Zdjęcie na okładce: STOCK
ISBN 978-83-7859-086-6

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2013

***Wszystko, co zostało zawarte w tej powieści jest wymyślone
dla potrzeb fabuły, także nazwiska, jakakolwiek zbieżność
jest przypadkowa.***

Autorka

Ben i Bob od trzech godzin byli wolnymi ludźmi, co prawda na zwolnieniu warunkowym, ale wolnymi. Na wyjście dostali po czterysta pięćdziesiąt dolarów i adres kuratora, do którego mieli się zgłosić.

Pierwsze kroki po zejściu z promu skierowali do kolegi, który zaoferował im pokój w swoim domu, aż nie znajdą jakiegoś mieszkania. Zostawili tam swoje bagaże, jednak nie rozpakowywali się. Przez żonę kolegi zostali zaproszeni na obiad, a po nim postanowili udać się do biura kuratora, chcieli mieć rozmowę z nim jak najszybciej za sobą.

Zbliżała się piętnasta, kiedy weszli do budynku sądu, tam odszukali biuro człowieka, od którego wszystko teraz będzie zależało. Weszli do środka i podeszli do stanowiska sekretarki, powiedzieli, z czym przychodzą, kazała im wejść do poczekalni znajdującej się obok i trzymać się kolejki, bo już kilku oczekujących czeka. W poczekalni siedziało dwóch mężczyzn w ich wieku.

– Cześć – powiedzieli niemal jednocześnie do oczekujących, odpowiedzieli im, wtedy Ben zapytał. – Też pierwszy raz?

– Nie, ja przychodzę co miesiąc – odpowiedział pierwszy.

– Ja, co dwa dni... – powiedział z ironią drugi.

– Co dwa dni? – zdziwił się Bob.

– Tak, raz przyszedłem po głębszym i ten skurwiel ukarał mnie w taki sposób.

– Nieźle – uśmiechnął się Ben. – Nie idzie się z nim dogadać?

– Oszalałeś? – zaśmiał się. – Nie z nim, gnój chce pokazać, jaki jest ważny, traktuje wszystkich jak śmieci...

– Starszy? – spytał Bob.

– Chyba młodszy od nas – odpowiedział ten drugi, wszyscy spojrzeli na drzwi, które się otworzyły i wyszedł z nich bardzo

zdenierwowany starszy mężczyzna, który, nie zatrzymując się, opuścił biuro. Jeden z tych, co czekali wszedł teraz do kuratora.

– Wiemy, że mamy dostać elektroniczne bransolety, ty też masz?

– Tak, to jest dla nich duża wygoda, przekroczysz dany obszar i już cię aresztują – odparł rozmówca, podciągnął nogawkę spodni pokazując swoją.

– Od razu zakłada?

– Nie, daję jakiś okres na znalezienie pracy, ja dostałem tydzień, ale to jest różnie...

– Znalazłeś? – zapytał Ben.

– Nie, nie róbcie sobie dużej nadziei na pracę, takich jak my, co to dopiero wyszli nikt nie chce przyjąć do roboty, najczęściej kończymy na zasiłkach, ja do dziś nie mam roboty, a jestem już pół roku na wolności....

– Niezła perspektywa – westchnął Bob. – A on nie pomaga w znalezieniu pracy?

– On? – zaśmiał się.

Wyszedł pierwszy rozmówca, teraz wszedł drugi.

– Nie dajcie mu się sprowokować, mam nadzieję, że ktoś mu kiedyś kosę sprzeda, to na razie chłopaki – pożegnał się i wyszedł.

– Z nami też może tak być... – odezwał się Ben.

– Jak?

– Że będziemy mieli problemy z pracą...

– Będziemy szukać do skutku, bierzemy, co nam dadzą, nawet, jeśli będą mało płacić – uznał Bob i dodał: – Nie zamierzam tam wracać, na zasiłku też siedzieć nie będę.

– Bob, ja tylko mówię, że może być z tym problem...

– Wiem – zgodził się Bob. Teraz była kolej na ich wejście, więc weszli, młody mężczyzna popatrzył na nich spode łba i zapytał.

– Nie wiecie, że wchodzi się pojedynczo?!

– Wiemy, ale razem wszystko robimy, jesteśmy z Wallasley i nie będzie się pan musiał powtarzać – powiedział pewnie Ben i obaj usiedli przed jego biurkiem. – Nazywam się Ben Iroshide.

– A ja Robert Curtis – powiedział Bob. Kurator przyglądał się im chwilę, po czym odszukał ich teczkę, były w nie włożone jakieś puste druki z rubrykami, które zaczął wypełniać.

– Powiem to tylko raz – położył przed każdym z nich druk.

– Od jutra macie trzy dni na znalezienie pracy, szukacie jej na własną rękę, w każdej firmie, w jakiej o pracy będziecie rozmawiać macie przedstawić ten dokument, czy was przyjmą czy nie, muszą tu w rubrykach podpisać i postawić pieczętkę, jak widzicie jest tu dwadzieścia pięć miejsc na pieczętki. Każda pieczętka oznacza dla mnie jak intensywnie poszukujecie pracy....

– A jeśli nie uda się nam znaleźć niczego w te trzy dni? – przerwał mu Ben.

– Macie gdzie mieszkać? – spytał.

– Nie – odparł Bob.

– To pójdziecie do schroniska dla bezdomnych i przez rok będziecie pobierali zasiłek, oczywiście będziecie musieli się u mnie meldować i nie będziecie mogli przekraczać... – przerwał i zajrzał w jakąś teczkę, sprawdził by dokończyć – kilometr od swego miejsca zamieszkania... – popatrzył na nich i dodał. – Jeśli to będzie więcej niż kilometr od mojego biura, to ja będę was sam sprawdzał.

– Mówi pan o bransolecie? – spytał Ben.

– Tak

– Jak mamy szukać pracy z tą bransoletą? – ciągnął dalej Ben.

– Bransolety założone będziecie mieli dopiero za cztery dni, jak znajdziecie pracę, to w obrębie kilometra od niej musicie znaleźć sobie lokum, oczywiście w przypadku jak znajdziecie pracę, w co ja osobiście nie wierzę, sam bym wam pracy nie dał – powiedział z ironią.

– A pan nie mógłby nam pomóc znaleźć pracę? – zapytał Bob.

– Dość mam kłopotów z wami i takimi jak wy, bym się miał jeszcze zajmować takimi rzeczami, sami musicie poszukać, jeśli nie znajdziecie pójdziecie na zasilek jak większość. Tak więc ten dokument musicie zawsze przedstawić jak będziecie szukać pracy, przejdźmy teraz dalej, gdziekolwiek będziecie mieszkać, każde zgłoszenie przez sąsiadów na was o burdy czy pijaństwo skutkuje aresztem, wtedy kieruję wniosek do sądu i on już postanawia jak was ukarać, natomiast to samo czeka was, jeśli pojedę do was na kontrolę i od kogoś wyczuję choćby piwo, albo jak mi któryś nie otworzy drzwi...

– Nawet piwa nie wolno wypić? – spytał Bob.

– Nawet, sąd dał wam szansę nie po to byście się upijali, więc nie zmarnujcie tego, nie muszę chyba mówić, że jeśli cokolwiek przeskrobiecie to wracacie tam, skąd przyszliście?

– Nie musi pan – potwierdził Ben.

– Więc widzimy się w piątek, wtedy też będziecie mieli założone bransolety, macie być u mnie między dziewiątą a jedenastą, tu jest moja wizytówka. – Położył przed każdym z nich po dwie sztuki. – Jedna jest dla was, druga dla waszego pracodawcy, musicie mu ją dać, by miał ze mną kontakt.

Bob i Ben zabrali druki do zatrudnienia, wizytówki i bez słowa wyszli.



Obu mężczyzn interesowała tylko i wyłącznie praca w warsztacie samochodowym, znali się na tym, przed wyrokiem przy tym pracowali, zresztą w więzieniu też, było to ich dodatkowe zajęcie. Nie interesowały ich wielkie zarobki, ale takie, by pozwoliły przeżyć i wynająć jakieś mieszkanie. Zaczynają wszystko od nowa, po woli wszystkiego się dorobią. Bob mógł iść do swej siostry mieszkającej w mieście. Wiedział, że pomogłaby im, ale po ostatniej kłótni na widzeniach, nie chciał z nią rozmawiać, a tym bardziej spotkać się. Chcieli pracować i sami do wszystkiego dojść, by pokazać choćby jej, że wyszli na prostą. Pracować najlepiej razem w jednym warsztacie. Nie interesowało ich zbijanie baków siedząc na zasiłku, obawiali się też tego, że jako bezrobotni mogą trafić na nieodpowiednie towarzystwo, a tu już najkrótsza droga na powrót na Wallasley.

Byli przyjaciółmi, postanowili trzymać się razem, by się wzajemnie pilnować. Mieli papiery z warsztatu znanego w mieście, w którym pracowali, ale jeszcze przed wyrokiem, dziś warsztat już nie istniał, trzy lata temu zmarł jego właściciel i nie miał kto prowadzić dalej interesu.

Zbliżał się koniec drugiego dnia szukania pracy, został im jeszcze jeden dzień, na druku o zatrudnieniu mieli siedemnaście podpisów, które mówiły o tym, że nie ma wolnych wakatów. Tak Ben, jak i Bob wiedzieli, czemu nie chcą ich zatrudnić, byli naprawdę rozczarowani, rozgoryczeni i zmęczeni długim dniem, tracili już nadzieję, wracając późnym wieczorem do domu, odstawili wóz kolegi, którym poruszali się od dwóch dni i weszli do domu. Domownicy mieli gości, jakieś starsze małżeństwo.

– Dobry wieczór – uśmiechnęli się, przechodząc obok jadalni, chcieli iść na górę do pokoju, w którym pozwolono im zostać, jednak zatrzymała ich teściowa kolegi, która wraz z nimi mieszkała.

– No i jak, panowie, udało się wam coś znaleźć?

– Niestety nie – odpowiedział Ben.

– Wejdźcie do jadalni – poprosiła.

– Nie chcemy przeszkadzać...

– Zapraszam na kolację, nie będziecie przeszkadzać, rozmawiałam z moim bratem, który właśnie nas odwiedził i może uda się wam coś załatwić. – Uśmiechnęła się do nich, biorąc Bena pod ramię i prowadząc go. – Davidzie, przedstawiam ci panów, o których rozmawialiśmy... – powiedziała do brata. Starszy mężczyzna wstał i podał obojgu dłoń.

– Słyszałem, że szukacie panowie pracy w warsztacie samochodowym? – powiedział, gdy przysiedli się na zaproszenie gospodarzy do stołu.

– Tak, ale mamy problem, bo dopiero wyszliśmy z pierdła i nikt nie chce dać nam szansy – powiedział szczerze Ben.

– Ja pracuję już dwanaście lat w warsztacie i naprawdę sobie chwalę, dzwoniłem do szefowej, kiedy Alicja mi powiedziała o waszej sprawie...

– Szefowej? – uśmiechnął się Bob.

– Tak, bo to kobieta prowadzi ten warsztat, powiedziała mi, że może jednego przyjmie, więc jeśli coś takiego was urzęduje, to... – Uśmiechnął się, oni też od razu się uśmiechnęli z ulgą. – Może przyjdziecie obaj. – Położył im wizytówkę. – Moja szefowa to tak nieprzewidywalna osoba, że może przyjmie was obu – znów się uśmiechnął. Ben przyglądał się wizytówce.

– To znany warsztat, myśli pan, że jest szansa?

– Jeśli nie sprawdzicie, to nie będziecie tego wiedzieli – odezwała się Alicja.

– O której mamy być? – spytał Ben.

– Dziewiąta, dziesiąta, może się zdarzyć, że jej nie będzie, wtedy zaczekacie – zaproponował David.

– Jaka jest, o co będzie pytać, chcemy wiedzieć jak się przygotować na rozmowę, wie pan z kobietami rozmawia się inaczej – odezwał się Bob.

– Powiem tak, szefowa mocną ręką trzyma warsztat i pracowników, jest wymagająca, ale jak powiedziałem nieprzewidywalna, może o nic nie pytać, a może maglować was dwie godziny, to jak z kobietą... Zależy od jej humoru, ale można się z nią dogadać...

– Dziękujemy – uśmiechnął się Ben. – Przyjedziemy i jesteśmy zobowiązani.

Kolacja była pyszna, próbowali się czegoś więcej dowiedzieć, ale David nie chciał za wiele mówić.

Cieszyli się na propozycję i właściwie pomoc Davida, leżąc wieczorem w łózkach planowali to spotkanie, wiedzieli, że muszą się postarać dobrze wypaść. Zawsze w sprawie pracy rozmawiali z mężczyznami, z kobietą trzeba będzie rozmawiać inaczej, uważali, że to na pewno starsza babka, przy której trzeba się pilnować ze słowami.



Warsztat znajdował się na obrzeżach miasta, w ładnej okolicy. Byli tam punktualnie o dziewiątej, pojechali taksówką, kolega nie mógł im dziś dać samochodu, sam go potrzebował. Gdy wysiedli z niej na podjeździe, zauważył ich David, podszedł podając rękę.

– Szefowa pojechała do lekarza, ale przyjmie was Mark i pogadacie, a jak przyjedzie szefowa to zobaczymy jak będzie.

– Rozmawiał pan z nią? – spytał Bob.

– Tak, jeśli chcecie wiedzieć, co powiedziała, to powiem tylko, że ona nie kupuje kota w worku... – uśmiechnął się i poszli do całkowicie oszklonego biura, skąd mieli widok i na warsztat i podjazd. Warsztat swą budową i ogromem przypominał han-

gar samolotów. Za nim znajdował się sporej długości i szerokości korytarz z podnośnikami na samochody i łańcuchami. Po obu stronach korytarza były też schody prowadzące na piętro, były tam tarasowe przejścia z barierkami i kilka drzwi. Na samym końcu korytarza znajdowało się otwarte pomieszczenie, w którym na specjalnym podeście stały motocykle, było ich dużo, takie lśniące i piękne jak na ekspozycji w muzeum. Obojgu to miejsce bardzo się spodobało. Drzwi do warsztatu były otwarte, ale nie przeszkadzało to w rozmowie trójki mężczyzn. Facet za biurkiem, też zajmował się naprawami, o czym świadczyły jego brudne od smaru ciuchy. Na kanale i podnośnikach stały trzy samochody, naprawiane przez sześciu mężczyzn, których dyskretnie policzył Ben. Przez kwadrans, jaki siedzieli już w biurze, zauważył, że podjechały trzy kolejne wozy. Tak więc, obaj pomyśleli, mają duży ruch, warsztat jest porządnie utrzymany, mają też sporo pracowników, więc ma swą renomę. Podjechał czarny jeep Nissan Navara, wysiadła z niego piękna, zgrabna, wysoka szatynka, ze strony pasażera wysiadła też śliczna może pięcioletnia dziewczynka z misiem w ręku. Jeden z pracowników podszedł jak do każdego kierowcy pytając o to, co naprawić, jednak tym razem nie tylko z nią rozmawiał, ale poszli na tył wozu i zaczął wyciągać jakieś pudełka stojące na kipie, wnosząc je do warsztatu. Spojrzeli na Davida, a ten wraz z jednym z pracowników dali im znać, że trzymają kciuki. Ben i Bob popatrzyli na siebie, nie wierzyli, że ta młoda, może dwudziestoletnia dziewczyna, może być szefową tego warsztatu.

– To szefowa? – spytał cicho Ben.

– Tak – odparł Mark. Kiedy dochodziła do biura, obaj wstali. Weszła, wyciągnęła dłoń, podając ją najpierw Benowi, potem Bobiemu i z pięknym uśmiechem powiedziała.

– Witam panowie, jestem Lara Simpson, mam prośbę, usiądźcie i dajcie mi pięć minut, odprowadzę tylko córkę, zajmę ją czymś i zaraz porozmawiamy...

– Oczywiście – zgodzili się z uśmiechem. Czuli, że jest dobrze do nich nastawiona, mimo iż David powiedział jej o tym, że dopiero wyszli z więzienia. Patrzyli za nią jak szła z córką na piętro i znikła za jednymi z drzwi. Byli dobrej myśli, odczekali trzy minuty, gdy zobaczyli, że schodzi na dół, zatrzymała się przy stanowisku obsługi klienta i chwilę rozmawiała z dziewczyną przy biurku.

– No już jestem – powiedziała wchodząc do biura. Mark zwolnił jej fotel, spojrzała na nich, obaj zauważyli, że ma piękne brązowe oczy. – Szukacie pracy? – spytała.

– I pracowali u Stonforda – odezwał się Mark wychodząc z biura.

– Macie na to papiery?

– Tak, ale wszyscy uważają, że to nieważne, bo to było przed naszymi wyrokami, a Stonford już nie istnieje – wyjaśnił Ben podając oba papiery oraz dokumenty. – Czy David wspomniał, że wyszliśmy dopiero z więzienia? – zapytał.

– Tak – spojrzała w dokumenty i na nich. – Wicie, że część sprzętów tutaj została kupiona na aukcji po śmierci Stonforda... – zaskoczyła ich tym, uśmiechnęła się i dodała. – Stonfort i mój dziadek byli dobrymi znajomymi...

– Nie wiedzieliśmy – uśmiechnął się Ben, chwilę mu się przyglądała, już jej się podobał ten facet, z takimi ostrymi rysami twarzy, ładnym uśmiechem. Zauważyła, że obaj mają śnieżnobiałe zęby, w ogóle wyglądali i pachnieli jak zadbani faceci. Lara była kobietą, która potrafiła rozpoznać ludzi dbających o siebie całe życie i takich, którzy chcą tylko dobrze wyglądać na rozmowie kwalifikacyjnej, nie byli, co prawda w garniturach, ale jeansach i stonowanych koszulkach, mieli wypięłgnowane paznokcie, byli ogoleni i mieli porządnie przystryżone włosy. Oczywiście nigdy nie brała pod uwagę wyglądu podczas rozmów kwalifikacyjnych, ale był to duży plus na ich ko-

rzyść. Wiedziała już, że Ben ma trzydzieści sześć lat, a Bob jest rok młodszy.

– Macie jeszcze jakieś dokumenty?

– Tak, to są opinie z Wallasley, a to dokument od kuratora, to są nasze zaświadczenia o wózkach widłowych, pewnie niepotrzebne, ale... I prawa jazdy... – mówił, układając przed nią plik różnych kartek mniej lub bardziej ważnych. Nagle wszyscy spojrzeli na drzwi, stanął w nich jeden z pracowników, podał jej kartkę i powiedział.

– Możesz wypisać fakturę dla pana Spencera?

– Tak – odłożyła karteczkę i przeglądała ich papiery. – To nie jest mi potrzebne, to też nie, to też nie, zaświadczenie o wózkach to dobry papier, nie muszę was wysyłać na kurs – odkładała wszystkie ważniejsze, jak im się wydawało papiery i opinie, przed sobą na biurku zostawiła tylko dokument od kuratora, zaświadczenie o kursach wózków widłowych i ich dowody osobiste. – A kartę zdrowia macie?

– Przyznam, że dali nam jak wychodziliśmy, ale nie braliśmy ich, nie wiedzieliśmy, że będą potrzebne – powiedział szczerze Ben.

– Moment, wydrukuję tą fakturę, ale możemy rozmawiać, powiem tak, nie interesują mnie te wszystkie opinie i inne świstki – spojrzała na nich. – Dajcie mi telefon do osoby, która odpowiadała za was na Wallasley... – powiedziała, zdziwili się, nie spotkali się z tym, że ktoś chciał szukać opinii o nich u źródeł, ale i nikt wcześniej nie chciał z nimi rozmawiać, nikt nie poświęcił im nawet tyle czasu co ta dziewczyna.

– Najwyższą władzą na wyspie był komendant Ted Palmer. – Ben wyciągnął telefon i szukał numeru, pokazał jej, ona wprowadziła numer do swej komórki i zadzwoniła, odłożyła jednak telefon na biurko, miała słuchawkę w uchu, czekała na połączenie, nie patrzyła na nich a w monitor, na którym wystawiała fakturę. Mężczyźni niepokoiли się, nie wiedzieli czy

Palmer nie wywinie im jakiegoś numeru, zawsze trzymały się go dowcipy, a jak usłyszy głos tak młodej dziewczyny, może myśleć, że to jakiś żart.

– Nie odbiera... Spróbuję znowu za chwilę... – wydrukowała fakturę, przybiła kilka pieczętek, wstała i wyszła z biura, podając fakturę pracownikowi, wróciła znów próbując się połączyć, powiedziała do słuchawki. – Dzień dobry, czy rozmawiam z komendantem Tedem Palmerem? – przerwała i słuchała. – Nazywam się Lara Simpson, jestem właścicielem warsztatu samochodowego Simpson & Simpson, mam możliwość przyjąć do pracy Beniamina – wzięła do ręki dowód i odczytała nazwisko – Iroshide i Roberta Curtisa, chciałabym by wydał pan opinię o nich – poprosiła i słuchała znowu stukając w klawiaturę. – Moment – przerwała mu i zwróciła się do mężczyzn. – Komendant mówi, że tam też naprawialiście wozy? – spojrzeli na drzwi, stała w nich dziewczyna z tacą, wtedy powiedziała. – Mam nadzieję, że napijecie się kawy?

– Przepraszam – odezwała się dziewczyna wyglądająca jak Emo, z koleczykami na twarzy i tatuażami na rękach. Postawiła przed każdym filiżankę z kawą, na spodeczku leżała torebeczka z cukrem.

– Tak, chętnie, dzięki – powiedzieli obaj, kiedy Kiki wyszła, Ben odezwał się.

– Tak, byliśmy tam z jeszcze jednym facetem głównymi mechanikami... – uśmiechnął się i zaczęli wsypywać cukier, wymieszali kawę i upili łyk jak umówieni, następnie Ben bardzo delikatnie łącząc swe duże dłonie objął filiżankę nie dotykając jej, jakby pieścił ją, bardzo się to Larze spodobało.

– Dobrze może pan mówić dalej... – powiedziała do słuchawki, w pewnej chwili uniosła rękę przywołując z warsztatu Davida, wszedł po chwili, dała mu znak by zamknął drzwi, usiadł za nią na jednej z szafek, pokazał mężczyznom uniesiony

do góry kciuk, teraz wszyscy byli dobrej myśli. – Tak rozumiem, jak faceci... – powiedziała do słuchawki rozmawiali już ponad dziesięć minut, co jakiś czas spoglądała na nich, czasami tylko unosiła brwi, zastanawiali się, co też Palmer na nich mówi. – Dobrze, to mi wystarczy, nie... Niech mi pan tego oszczędzi, dziękuję, do widzenia. – Rozłączyła się. – Palmer mówi, że jesteście przyjaciółmi?

– Tak – potwierdził Ben. Wydrukowała to, co przed chwilą pisała, odłożyła na bok, była bardzo poważna, oparła się o fotel i chwilę przyglądała się im, następnie obróciła się z fotelem i spojrzała na Davida.

– David, co by w takiej sytuacji zrobił mój dziadek? – spytała.

– Pewnie przyjąłby ich obu... – odpowiedział. Lara chwilę mu się przyglądała, potem spojrzała na nich. Odczekała dość długą chwilę.

– Niestety – odwróciła się do nich z fotelem i zaczęła, zrozumieli, że to Niestety jest niejako wstępem do odmowy. – Obawiam się, że nadal będziecie na siebie skazani, bo obaj jesteście przyjęci. – Przybiła pieczątki na wydrukowanych i leżących obok umowach, oraz na dokumencie od kuratora w rubryce zatrudnienie. Obaj byli w szoku, ale szczęśliwi. Naprawdę szczerze się teraz do siebie uśmiechnęli, ona też się wreszcie uśmiechnęła, wreszcie, bo była bardzo poważna w czasie rozmowy, a uśmiech miała naprawdę piękny. David wyciągnął do nich dłoń gratulując.

– Przy tym wstępie Niestety, już myślałem – powiedział Ben, gdy już opadły pierwsze emocje.

– Dobra, ale jeszcze zajmę wam kilka minut, bo muszę o wszystkim powiedzieć.

– Jasne – zgodzili się.

Była tak ładną i sympatyczną osobą, dała im pracę, tak, że byli gotowi przesiedzieć tu z nią jeszcze pięć godzin. Nagle do

biura wszedł przystojny mężczyzna w garniturze, może w ich wieku.

– Cześć, kochanie – powiedział do niej. – To ci panowie, o których mówiłaś? – zapytał.

Ta uśmiechnęła się tajemniczo, wzięła do ręki druk z pieczętami zakładów, w których rozmawiali o pracy i powiedziała.

– Spójrz, Berenson też im odmówił, a wypożycza od nas ludzi – podała mu druk. Mężczyzna spojrzał, uśmiechnął się i oddał jej dokument, następnie podał dłoń mężczyznom przedstawiając się.

– Morris Simpson.

Kiedy już mężczyźni przedstawili się on zwrócił się do kobiety.

– Musisz wprowadzić panów we wszystko.

– Tak właśnie miałam to zrobić, ale najpierw muszę zadzwonić w dwa miejsca... – Wykręciła numer, telefon znów leżał na biurku. – Witaj Phil, mam dla ciebie złe wieści, pochorowało mi się trzech pracowników i niestety Alan pracuje u ciebie tylko dziś, nie mogę ci go dłużej wypożyczać – skłamała i słuchała, co do niej mówi. – Ale nie ma takiej opcji, do żadnej soboty, jutro ma się stawić u mnie, nie, nie, na razie... – rozłączyła się. Ben i Bob podejrzewali, że mężczyzna w garniturze jest mężem Lary, w duchu cieszyli się, że załatwiła tak Berensona, wyciągnęła jakiś notes, odszukując numer, który wbiła w komórkę. – Dzień dobry, czy rozmawiam z doktor Larson? – spytała i słuchała. – No witam, Lara Simpson, mam do przyjęcia dwójkę panów, kiedy mogłaby ich pani przyjąć, zależy mi na czasie... – znów słuchała. – Moment zapytam – przerwała i zwróciła się do nich. – Kiedy chcecie iść na wizytę do lekarza, dziś czy jutro?

– Możemy dziś, jeśli to konieczne – zgodzili się, o czym powiedział Bob.

– Pani doktor, dziś byliby u pani – słuchała. – Dobra, przekażę, podaję nazwiska: Benjamin Iroshide i Robert Curtis, o siedemnastej, dobrze, dziękuję, do zobaczenia... – rozłączyła się. – Wiem, że nie jest to może wam na rękę i że zmarnujecie trochę czasu, ale bez opinii lekarza was nie przyjmę, musicie zabrać ze sobą swoje karty zdrowia – mówiła, pisząc na kartce. – O siedemnastej pod tym adresem, dobrze byłoby byćście byli punktualni – zaproponowała.

– Oczywiście – powiedział Ben kładąc przed sobą adres.

– Dobra panowie, teraz taka pierwsza sprawa to, to, że my tutaj wszyscy mówimy sobie po imieniu – przytaknęli. – Na razie macie umowę na trzy miesiące, potem oczywiście, jeśli wszystko będzie okay i wy będziecie chcieli pracować dla mnie dalej, to ją przedłużymy – znów przytaknęli, ona z kolei zwróciła się do starszego mężczyzny. – Dawid, przedstawisz ich ludziom, tylko nie będziesz mógł ich nigdzie wysłać, bo będą mieli założone bransolety, żeby nie napytali sobie biedy...

– Dobra – zgodził się mężczyzna. – Zaraz wrócę – powiedział i wyszedł.

– Powiedz im o Franku – zaproponował Morris także wychodząc.

– Tak, mamy pracownika o tym imieniu, proponuję byćście trzymali się od niego z daleka, jest złośliwy, więc nie dajcie się sprowokować, to taka szuja, która tylko patrzy jak komuś zaszkodzić...

– Rozumiemy – odpowiedział Ben.

– Reszta pracowników jest okay – powiedziała i wstała, z szafki wyciągnęła dwie ładne firmowe teczki z logo warsztatu i jakieś druki. Obaj podążali wzrokiem za jej pięknymi kształtami. – Teraz panowie, musicie mi to wypełnić, chodzi o waszą

odzież roboczą, konkretnie o rozmiary, najlepiej od razu. – Położyła przed nimi druki wraz z długopisami. Spojrzała na zegarek. – A tu jest katalog dań, jakie zamawiamy przez firmę cateringową, codziennie rano zapisujecie numer dania i podajecie Kiki, to dziewczyna w biurze obsługi klienta, ta od kawy, zapewniam tylko obiady, proponuję byście coś wybrali już na dziś – podsunęła im karteczkę. – Mamy kwadrans do złożenia zamówienia.

– Będziemy mieli za to potrącanie? – spytał Bob.

– Nie, ale resztę posiłków organizujecie sobie we własnym zakresie – odpowiedziała, wybrali na szybko i zapisali na kartce, która Lara podała pracownikowi by zaniósł, Kiki. – Jeśli chodzi o wasze zarobki, na początek dostaniecie po czterdzieści dolarów na godzinę, czy to wam odpowiada?

– Jak najbardziej – uśmiechnęli się obaj.

– Oczywiście, jeśli przedłużymy umowę dostaniecie więcej – zaznaczyła od razu. – Pracujemy od ósmej do dwudziestej od poniedziałku do piątku, jednak w naszych usługach mamy też pomoc całodobową, dyżury w weekendy, dwóch czasem trzech ludzi z reguły ustalamy w tygodniu, za co też zarabia się dwadzieścia dolarów więcej za godzinę, organizujemy to tak, że w miesiącu na pracownika przypada dokładnie jeden dyżur weekendowy... Są też dyżury nocne, ale w tej chwili do końca miesiąca mam już ustawionych ludzi, więc na następny miesiąc przygotujcie się na dwa, trzy nocne dyżury... Tu też zarabia się więcej o te dwadzieścia dolarów na godzinie.

– Dla nas nie będzie to żadnym problemem – odparł Bob, Ben przytaknął.

– Cieszę się, w naszych usługach jest także udzielanie pomocy drogowej, ale wy nie będziecie w tym uczestniczyć ze względu na bransolety.

– Tak, to zrozumiałe – zgodził się Bob. Odezwał się telefon, który odebrała. Mężczyźni wypełniali druki na odzież.

– Prowadzimy nie tylko naprawy, ale też skupuję wypadkowe samochody, które rozkładamy na czynniki pierwsze, wówczas części albo wykorzystujemy albo sprzedaję... Tak, że przy tym też będziecie mogli pracować, jeśli będziecie chcieli, bo to nie jest obowiązkowe, ale jest to taką dodatkową fuchą, na którą chętnie przychodzą pracownicy w weekendy, bo zawsze poświęcamy na to którąś z sobót.

– Rozumiemy – potwierdzili

– Od kiedy możecie zacząć?

– Nawet dziś z przerwą na tego lekarza, z tym, że jutro byśmy się spóźnili, bo na dziewiątą mamy być u kuratora – powiedział Ben.

– Dobrze, panowie, powiedzcie mi tylko, czy macie gdzie mieszkać?

– Na razie zatrzymaliśmy się u kumpla, ale to centrum miasta... Więc będziemy musieli się rozejrzeć za jakimś pokojem tu w okolicy – odpowiedział Ben. Wrócił David.

– Spróbuję się rozejrzeć dla was za jakimś mieszkaniem w obrębie waszych bransolet, bo widzę, że – spojrzała w dokument – wyznaczył wam kilometr...

– Tak.

– Zrobimy tak, podpiszcie mi umowy i kopie – zaczęła, podsuwając im dokumenty do podpisu, zabrała ankiety. – Zaraz wracam. – Wyszła z nimi.

– David, nie wiemy jak ci dziękować – powiedział cicho Ben, obaj byli uśmiechnięci i zadowoleni.

– Powiem wam coś panowie, ona dała wam szansę, nie zawiadźcie jej, to nie jest warsztat, do którego wchodzi się z ulicy, a jak się dobrze znacie na robocie, to na pewno poradzicie sobie, nie chciałbym się za was wstydzić, bo nie po to z nią o was rozmawiałem – odpowiedział.

– Nie zawiedziemy nikogo – obiecali.